



Ławianin Wojciech Kaniuka o normalności na wózku [WYWIAD]

data aktualizacji: 2019.04.22



Kiedy czyta się jego CV, bloga na stronie www.opiniologia.pl i zna się jego trudną sytuację zdrowotną, to naprawdę robi to ogromne wrażenie. Sam o sobie pisze, że jest ambitny, asertywny, kreatywny i uparty w dążeniu do wyznaczonego celu.

Wojciech Kaniuka jest niepełnosprawny ruchowo w stopniu znacznym, cierpi na Dziecięce Porażenie Mózgowe (czterokończynowe) z głębokimi zaburzeniami mowy. Mimo oczywistych trudności zdobył gruntowne wykształcenie i jest aktywny zawodowo na poziomie, którego może mu pozazdrościć niejedna osoba, mająca pełną sprawność i optymalne warunki do funkcjonowania.

Trzeba mieć niebywale zasoby ambicji i samozaparcia, żeby znaleźć się w tym miejscu, w którym aktualnie jesteś, przy tak dużych utrudnieniach związanych z chorobą. Jak rodziła się w Tobie ta potrzeba osiągnięcia coraz więcej w nauce, pracy i w ogóle w życiu?

Wojciech Kaniuka: Na pewno w pierwszej kolejności zawdzięczam to rodzinie – rodzicom, rodzeństwu oraz pozostałym krewnym. Zawsze byłem traktowany jak „normalne dziecko”. Nie byłem izolowany od ludzi, choć – powiedzmy sobie jasno – osoba niepełnosprawna wtedy (lata '80, '90 – oczywiście bardziej pamiętam te drugie) budziła pewne „sensacje” w społeczeństwie, a może nawet i lęk. Stereotypy były wtedy górą, a niewątpliwie specyfika mojej niepełnosprawności jeszcze bardziej mogła je potęgować. Jestem w pełni tego świadomy. Ogromnym plusem było niewątpliwie także i to, że uczyłem się w tzw. „normalnej szkole”. Jeżeli kogoś tym określeniem w tym momencie obraziłem, to najmocniej przepraszam – nie było to moją intencją. Były to po prostu

czasy, kiedy szkoły integracyjne nie istniały. Albo byłeś „normalnym uczniem”, albo uczniem szkoły specjalnej – „czarne albo białe”. Decyzją pani psycholog trafiłem do zwykłej podstawówki, a później – już w wyniku własnej decyzji – do Technikum Ekonomicznego w Zespole Szkół im. Bohaterów Września 1939 Roku, czyli do naszej ławskiej „Budowlanki”. Miałem ogromne szczęście do świetnych nauczycieli oraz fajnych koleżanek i kolegów. Mimo iż miałem nauczanie indywidualne, to raz lub w niektórych latach szkolnych dwa razy w tygodniu jeździłem do szkoły, żeby mieć kontakt z klasą. Zależało na tym zarówno pedagogowi szkolnemu i nauczycielom, jak i moim rodzicom. Mogłem wtedy liczyć na pomoc moich rówieśników, którzy pomagali mi na lekcjach i na przerwach – z noszeniem po schodach i karmieniem włącznie. Nie trzeba było do tego żadnych ustaw, rozporządzeń, etc. Dzisiaj, kiedy widzę, jak są traktowani uczniowie z niepełnosprawnościami, to jestem po prostu wściekły. Nauka w domu sprawiała, że musiałem być przygotowany na każdą lekcję, gdyż „ściągnąć” od koleżanki czy kolegi po prostu się nie dało. Ale nie odmawiam też sobie ambicji. Kiedy byłem badany przez panią psycholog Grażynę Kocejko przed rozpoczęciem nauki w szkole podstawowej, z jej ust padły słowa: „Widzę Cię na studiach”. Jakaś abstrakcja... Wtedy było mi bliżej do komputera marki Atari, który był hitem, niż do indeksu studenta, co było oczywiście naturalne u każdego ówczesnego siedmiolatka. Jednak po latach słowa pani psycholog okazały się prorocze. Na początku marzyły mi się studia prawnicze, jednak w połowie klasy maturalnej zdecydowałem, iż będę studiował politologię. Powody były dwa. Mój profesor od historii i wiedzy o społeczeństwie – Pan Dyrektor Witold Koprowski – jako dodatkową pracę domową zadał mi oglądanie „Dziennika Telewizyjnego” (z nazwy programu oczywiście żartuję, choć sam Pan Dyrektor faktycznie używał wtedy nazwy „Dziennik”). I wciągnęła mnie ta polityka – w sensie zainteresowania – co trwa zresztą do dzisiaj. A ponieważ politologia jako jeden z niewielu kierunków była już dostępna w trybie e-learning, a prawo jeszcze nie, zdecydowałem się właśnie na nią. Czysty pragmatyzm. Żałuję i nie żałuję. Żal, że nie skończyłem prawa, lecz cieszę się z ukończenia politologii, gdyż jest ona naprawdę ciekawą nauką. I twierdzą tak, mimo iż nie jest mi dane pracować w swoim zawodzie. Sam e-learning nauczył mnie natomiast wytrwałości i samodyscypliny. Człowiek jest w zasadzie sam sobie sterem, okrętem i żeglarzem. Podobnie jest z pracą zdalną, dzięki której jestem dzisiaj w miarę aktywny.

Wróćmy na chwilę do dzieciństwa. Jak wyglądały Twoje relacje z rówieśnikami?

Wśród rówieśników zawsze budziłem bardziej zainteresowanie niż niechęć. Jak już wspominałem, ogromna w tym zasługa nauczycieli, rodziców. Jako dziecko jakoś tak bardzo nie odczuwałem swojej niepełnosprawności, choć sama świadomość jej posiadania niewątpliwie była – na tyle, na ile świadomym może być młody człowiek w wieku kilku czy nawet kilkunastu lat. Po drzewach nie latałem, w piłkę nie kopałem, ale w innych zabawach podwórkowo-osiedlowych na swój sposób uczestniczyłem. Plus jest taki, że żadnemu sąsiadowi nie wybiłem szyby w oknie.

Wiadomo, że okres dojrzewania jest momentem przełomowym w życiu każdego młodego człowieka, który najzwyczajniej w świecie zaczyna chcieć więcej. Jak to było z Tobą?

Mimo ograniczonego kontaktu z rówieśnikami nie sądzę, żebym jakoś bardzo od nich odbiegał, choć niewątpliwie trochę tak było. Pojawiasz się raz lub dwa razy w tygodniu w

klasie. Jesteś dodatkowo „gościem”, którym trzeba się zająć. Na lekcjach nie pogadasz, bo wtedy nauczyciel miał jeszcze jako taki autorytet i to przede wszystkim jego należało słuchać. Na przerwach głośno, a moja mowa niewyraźna. Ale relacje były. Były odwiedziny w domu, wspólne wyjścia do kina, wycieczki szkolne, wypadki do parku na „soczek”. Ale to już w starszych klasach – to taka uwaga w stronę współczesnej młodzieży. Nie mogło mnie też zabraknąć na połowinkach czy studniówce. Na pewno nasze kontakty ułatwiło pojawienie się Internetu – w moim przypadku był to chyba początek trzeciej klasy technikum. Wiem, że współczesnej młodzieży, a nawet małym dzieciom, trudno w to uwierzyć. Ale tak było i też dało się żyć. Tak naprawdę na wszystko znalazł się sposób. W pewnym momencie koleżanka z klasy wpadła na pomysł, żeby pisać do siebie listy. Wymienialiśmy się nimi, kiedy pojawiałem się w szkole. Później jeszcze dwie dziewczyny z klasy „kupiły ten patent”. Muszę też wspomnieć o trzech młodszych koleżankach z innych klas. Ale to już były czasy Internetu i niezapominanego komunikatora Gadu-Gadu, na którym się poznaliśmy. Dziewczyny „porywały mnie” na niedzielne spacerki, jak tylko pogoda dopisywała. Bardzo miłe to wszystko wspominam. Na pewno były emocje, nie były też mi obce różne przeżycia, rozterki, bunt, zakochiwania, podkochiwania, etc. Życie nastolatka, które – i owszem – od normy trochę odbiegało, ale nie aż tak bardzo, jakby się to mogło wydawać.

Ukończenie studiów, borykając się z zaburzeniami mowy i ograniczeniami fizycznymi, to musiała być trudna droga...

To właśnie rodzaj i stopień mojej niepełnosprawności zadecydował o wyborze nie tyle kierunku studiów, co ich trybu. Trzeba jasno sobie powiedzieć, że tryb e-learning (nauka przez Internet) w 2004 roku jeszcze „raczkował”. W przypadku studiów pierwszego stopnia (była to ówczesna Wyższa Szkoła Humanistyczno-Ekonomiczna w Łodzi) był on – jak na tamte czasy – bardzo dobrze rozbudowany. Wykłady pisemne w plikach PDF, zadania pisemne, testy, quizy, ale przede wszystkim dyskusje na forum z prowadzącym i z innymi studentami, aktywność, która decydowała najczęściej o ilości przyznanych punktów zamienianych na ocenę. Sama sesja odbywała się na terenie uczelni. Jeździłem zatem z rodzicami co pół roku – najpierw do Łodzi (gdzie robiłem licencjat), później do Wrocławia, gdzie w filii Wyższej Szkoły Zarządzania i Bankowości w Poznaniu uzyskałem upragniony tytuł magistra. I tak samo było z obroną prac dyplomowych. Dwie rzeczy były jak gdyby największym wyzwaniem. Sesje trwały dwa dni (sobota, niedziela). Składało się na nie od 8 do 10 egzaminów i zaliczeń, które zdawałem przy komputerze w dziekanacie. Drugie wyzwanie to już uzupełniające studia magisterskie. Tutaj był bardziej tryb eksternistyczny na odległość niż e-learning. Dostawaliśmy sylabusy, a wymienioną w nich literaturę każdy musiał zdobywać sam. Pisałem wtedy dziesiątki maili do różnych uczelni i instytucji. Udało mi się nawet wyprosić ksero jednej z książek w bibliotece sejmowej. Swój ogromny udział ma też tutaj moja mama, która spędziła ogromną ilość czasu w iławskich bibliotekach, gdzie dostać literaturę dla studenta politologii było piekielnie trudno. Dziś Internet to tak naprawdę mój świat i drugi „aparat mowy” – ten trochę lepszy.

Czy na przestrzeni lat widzisz różnicę w kwestii dbania o niepełnosprawnych przez państwo polskie?

Drażliwy temat... Mówi się, że jest wiele dla nas robione. To dlaczego muszę dziś prosić

ludzi dobrej woli o pomoc w zakupie specjalistycznego wózka inwalidzkiego, którego zakupu państwo nie refunduje nawet w połowie? Skończyłem studia, pracuję, płacę podatki... Inne grupy społeczne dostają dziś od państwa hojne prezenty, a niepełnosprawnych się ignoruje. Dziś czuję się upokorzony przez państwo polskie jako osoba niepełnosprawna. Przeważnie nam się odbiera, niż daje. W latach 2014 - 2017 jeździłem na zajęcia i obozy, które organizowała Fundacja Aktywnej Rehabilitacji. Spotykałem się z ludźmi, integrowaliśmy się. Dzięki temu mam też pracę. Ale dziś już nie ma na to środków, a za to są znowu cztery ściany. Jak tlen do życia potrzebna jest nam Asystencja Osobista Osób Niepełnosprawnych, o czym bardzo często - może już nawet do znudzenia - piszę na swoim blogu i profilach społecznościowych. Uważam, że jest to kwestia naszej wolności i godności osobistej. Niezależność osób niepełnosprawnych powinna być imperatywem kategorycznym w polityce państwa - od władzy centralnej do samorządu, z organizacjami pozarządowymi włącznie. Musi ona obejmować nie tylko AOOD, ale też szereg innych rozwiązań, jak choćby na przykład mieszkania wspomagane, dostęp do rehabilitacji, edukację, pracę, etc. Potrzeba nam zatem nowoczesnego systemu wsparcia osób z niepełnosprawnościami - takiego z prawdziwego zdarzenia.

Jesteś otoczony rodziną, masz rodziców, rodzeństwo. Czy mimo to czujesz się samotny?

Rodzina - wiadomo - jest najważniejsza. Ale każdy z nas funkcjonuje w różnych sferach życia: towarzyskim, rozrywkowym, a także tym, które wiąże się relacjami damsko-męskimi. Dotyczy to także seksualności człowieka, z której osoby niepełnosprawne nie są „zwolnione”. Przeciwnie. Mamy swoje potrzeby, które silnie odczuwamy. Mamy prawo je odczuwać oraz zaspokajać. Na swój sposób jestem więc samotny. Określam to nawet jako „samotność wśród tłumu”. „Im dalej w las, tym więcej drzew” - im człowiek starszy, tym mocniej odczuwa samotność... Dobra muzyka często pomaga.

Jak byś zachęcił osoby niepełnosprawne do wzięcia spraw w swoje ręce, do zdobycia wykształcenia, do integracji?

Uważam, że w życiu najważniejsze są godność i niezależność... Nikt dla nas i za nas ich nie wywalczy, jeżeli sami się w to w pełni nie zaangażujemy.

powiat-ilawski.pl/M.Rogatty

Jak można pomóc Wojtkowi?

Jest on podopiecznym Fundacji Avalon i posiada tam swoje subkonto.

Fundacja Avalon - Bezpośrednia Pomoc Niepełnosprawnym, ul. Michała Kajki 80/82 lok. 1, 04-620 Warszawa.

Numer rachunku odbiorcy: 62 1600 1286 0003 0031 8642 6001.

W tytule wpłaty prosimy podać nazwisko i numer członkowski nadany przez Fundację: Kaniuka, 11134 (ten dopisek jest bardzo ważny). Wojciech będzie niezmiernie wdzięczny za każde wsparcie.

Źródło: <https://www.infoilawa.pl/aktualnosci/item/57599-ilawianin-wojciech-kaniuka-o-normalnosci-na-wozku-wywiad>